
Polska - Niemcy - Europa a kwestia wypędzonych

Zapis dyskusji na konwersatorium Fundacji „Polska w Europie” w dniu 4 lipca 2002 r.

ZYGMUNT SKÓRZYŃSKI

Przyjeliśmy taki zwyczaj od kilku już lat, że niezależnie od ciągu bieżących tematów, związanych z analizą stosunków międzynarodowych, które są przedmiotem naszych studiów i spotkań, podejmujemy tematy, które padają na stół *ad hoc*. Na naszym ostatnim zebraniu było to „nowe” NATO, natomiast tematem dzisiejszego spotkania jest wystąpienie Edmunda Stoibera, kandydata na kanclerza Niemiec. Ta sprawa jest bardzo różnie interpretowana: albo jako fakt historyczny, albo jako historyczne nieporozumienie, jako nadmiar gorliwości doradców wyborczych naszego bohatera bądź jako silna reakcja polskiej opinii publicznej, zaniepokojonej licznymi oświadczeniami i dalszymi wypowiedziami, zwłaszcza Eriki Steinbach. Postanowiliśmy działać natychmiast, w dzisiejszym spotkaniu zgodził się wziąć udział minister Władysław Bartoszewski, nasz wielki przyjaciel, oraz Artur Hajnicz, współzałożyciel Fundacji. Zdecydowaliśmy o zorganizowaniu tego spotkania, kiedy w Warszawie przebywał Wolfgang Schäuble, reprezentujący Edmunda Stoibera.

Państwo znają tę sytuację, zaniepokojenie polskiej opinii publicznej nadal trwa, dlatego też chciałem jeszcze raz serdecznie podziękować za przyjęcie naszego zaproszenia ministrowi Władysławowi Bartoszewskiemu oraz Arturowi Hajniczowi, a także wszystkim Państwu za przybycie.

ARTUR HAJNICZ

Może trochę rozczaruję, dlatego że temat wypędzenia jest niezwykle obszerny. Przerabialiśmy go już w dwuletnim programie „Kompleks wypędzenia”. Ukazała się gruba księga obejmująca materiały oraz raport końcowy, w którym zajmujemy w tej sprawie stanowisko prawne i historyczne. 7 grudnia 1996 r. odbyło się końcowe spotkanie w hotelu Europejskim w obecności wszystkich zainteresowanych polityków niemieckich od Herberta Hupki poprzez Markusa Meckela i innych.

Ograniczę się do wydarzenia, które miało miejsce ostatnio. Zacznę od stwierdzenia, że w przeciwieństwie do wielu osób wypowiadających się na ten temat, nie śmiałbym wystąpić przed Państwem bez znajomości tekstu, o którym mowa. Z treści wielu wypowiedzi i publikacji wynika, że ludzie wygłaszający przy różnych okazjach swoją opinię nie czytali tego testu. Pomijane są także okoliczności, w jakich został wygłoszony, a mianowicie 23 czerwca na dorocznym spotkaniu Ziomkostwa Prus Wschodnich w Lipsku. Tego typu spotkania często wywołują burze, co zdarzyło się już kilkakrotnie.

W tekście przemówienia wygłaszanym przez premiera Bawarii pana Edmunda Stoibera mowa jest o dekretach Benesza i Bieruta powodujących wypędzenie Niemców. Ale takich dekretów Bieruta nie było. Można byłoby przyjąć, że to tylko mała gafa, zwłaszcza że następnie przyjechał pan Schäuble i w imieniu swoim oraz Edmunda Stoibera sprawę sprostował i zapewniał o dobrych intencjach.

Nie jest to jednak takie proste. Reakcje strony polskiej, w tym osób publicznych, były gwałtowne. Dodano stwierdzenia, których pan Stoiber nie wypowiedział. Takimi wypowiedziami robimy podwójny podarunek: z jednej strony osobom przestraszonym, które mają pożywkę dla stwierdzeń typu „po co nam ta Unia”, z drugiej – pani Erice Steinbach. Cieszę się, że obecni są tu przedstawiciele MSZ, pod których adresem kieruję mój wstęp.

Faktem jest, że Stoiber nie zakwestionował wyniku wojny, umowy poczdamskiej ani odpowiedzialności Niemiec za wojnę. Wręcz przeciwnie, wielokrotnie podkreślał, że to Niemcy ponoszą winę, a narodami, które najbardziej ucierpiały w czasie wojny, są Polacy i Rosjanie. Nie zakwestionował, jak to mówią niektórzy politycy, *expressis verbis* pojednania polsko-niemieckiego. Co istotne, nigdzie nie zostało powiedziane to, czego Związek Wypędzonych domagał się dotąd, iż cofnięcie decyzji stanowiących wynik wojny jest warunkiem poparcia przez Niemcy naszego przystąpienia do Unii. Stoiber stwierdził jedynie, że istnieje konieczność prowadzenia na ten temat rozmów.

Przejdę do owej gafy. Stoiber zaczyna od zapewnienia, że nikt nie chce nikogo znikąd wypierać, wypędzać, że wszyscy pragniemy w Europie stabilności, pokoju i dostatku. Powołując się na sprawozdanie Parlamentu Europejskiego stwierdzające, że przez rozszerzenie Unii Europejskiej zostaną zablźnione rany powstałe w wyniku różnych historycznych sporów, Stoiber dodaje, że należałoby tutaj mówić o dekretach Benesa i dekretach Bieruta, na których podstawie Niemcy zostali wypędzeni. Dopóki dekrety te zachowują ważność, dopóty rany pozostaną otwarte; dokumenty te są sprzeczne z europejskimi wartościami i porządkiem. Dalej następuje ciąg pochwał, że Polacy są wielkim narodem europejskim, który powinien znaleźć się w Unii. Polska zna cierpienia podziałów i rozbiorów, Polacy wykazali gotowość do rzetelnej i szczerzej rozmowy o wypędzeniu i nie zasklepiają się w ocenie historii, wreszcie - Stoiber wspomina i omawia list polskich biskupów z 1965 r. Gafa jest oczywista, nie było żadnych dekretów Bieruta, wydanych przed 1948 r., co pan Schäuble przyznał w rozmowach prywatnych. Podstawą do wypędzenia Niemców nie były żadne polskie akty prawne, lecz art. 13 protokołu rozmów szefów Wielkiej Trójki w Poczdamie. Wysiedlanie ziem zachodnich przeprowadzono na zlecenie Sojuszniczej Rady Kontroli Niemiec. Przy tej okazji popełniono wiele niegodziwości, wręcz zbrodni, o czym my szczerze i otwarcie pisaliśmy w programie „Kompleks wypędzenia”. Mieliśmy świadomość, że nie można trzymać „trupa w szafie”, bo kiedyś zacznie cuchnąć. Należy zatem wystąpić z własną inicjatywą.

Premier Edmund Stoiber, mówiąc o polskich dekretach, nie powiedział też konkretnie, o jakie dekrety mu chodzi. Może należało o to zapytać? Strona polska podjęła pewne dziwne kroki. Pojawił się komunikat Kancelarii Sejmu, że wszystkie te dokumenty są od dawna nieważne. Robienie szumu wokół tych spraw nie ma więc sensu. Mam tu pewne wątpliwości.

Co do dekretów, to chodzi o ustawę z 6 maja 1945 r. i o dekret rządu z 8 marca 1946 r. o przejęciu przez państwo mienia opuszczonego i porzuconego oraz mienia poniemieckiego. Sytuacja była taka, że ogromny majątek, będący własnością III Rzeszy, instytucji państwowych i prywatnych, mógł sobie wziąć każdy. Nie było prawa ograniczającego to zjawisko. W związku z tym powstał potężny ruch szabrowniczy. Nie była to zabawa w policjantów i złodziei, gdyż sami milicjanci kradli i szabrowali. Jak sobie przypominam, drugi dekret z 8 marca 1946 r. nazywano antyszabrowniczym, ponieważ szabrowanie i niszczenie tej własności stało się naruszeniem prawa.

Tak wyglądało to wówczas. Obecne polskie stanowisko prawne opiera się na podstawowej zasadzie międzynarodowego prawa cywilnego. Zasada ta przyjmu-

je, że spory dotyczące nieruchomości osób fizycznych są rozstrzygane przez państwo, na którego terenie znajduje się nieruchomość *lex rei sitae*. Wypływają stąd dla nas dwa wnioski: po pierwsze, skargi wysuwane przez obywateli innych państw, dotyczące majątków znajdujących się na terenie Polski, mają być rozpatrywane przez polskie sądy (w tej sprawie doszło korzystne dla nas orzeczenie niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego). Po drugie, nadal obowiązuje dekret z 8 marca 1946 r. i wobec tego po sześćdziesięciu latach nikt nie może zakwestionować skutków wynikających z tej ustawy. Sądy polskie muszą to uwzględniać.

Zgadzam się z ogólnym założeniem przyjętym przez polską politykę zagraniczną, że w związku z wejściem Polski do Unii Europejskiej należy mówić o przyszłości, a nie o przeszłości, ale nie wolno twierdzić, że wszystkie akty prawne z tego czasu są nieważne. Jest to strzał do własnej bramki.

WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI

Oszczędzę przypominania wydarzeń z ostatnich tygodni. Mam ze sobą wycinki prasowe z „Rzeczpospolitej”, „Gazety Wyborczej”, „Wprost”, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, ale nie będę przytaczał ich zbyt często. Zajmę się raczej tym, co subiektywnie widzę i czuję, przy czym należy sobie trochę powiedzieć o osobach tego scenariusza. Sprawa pana Stoibera czy też jego wypowiedzi z 23 czerwca 2002 r. nie wyskoczyła niczym Minerwa z głowy Jowisza, przy spotkaniu polityka bawarskiego z Ziomkostwem Prus Wschodnich. Polacy uczestniczyli w powstaniu warszawskim, kiedy Armia Czerwona oswobadzała tereny Prus Wschodnich. Nie byłem wtedy zaangażowany politycznie, ale redagując w listopadzie i grudniu w Krakowie codzienny wewnętrzny komunikat akowski dla komórek sztabowych, pamiętam dokładnie, że czerpałem z różnych agencji i nasłuchów drobne wiadomości o Prusach Wschodnich. Dlatego też z historycznego doświadczenia mogę powiedzieć, że z problemami Prus Wschodnich zapoznaliśmy się *post factum*, kiedy najgorsze już minęło. Było to wiosną 1945 r., gdy jako tako osiadłszy, zaczęliśmy interesować się tymi sprawami, gdy wysyłano do Olsztyna grupy operacyjne, infiltrowane przez dawnych pracowników delegatury rządu wykwalifikowanych do zajmowania się problematyką poniemiecką. W tamtym czasie organizowano akcje harcerskie do kontaktów z tamtym terenem, działy się wtedy różne rzeczy, ale Prusy Wschodnie na pewno nie były głównym problemem naszych obciążeń, był nim niewątpliwie Śląsk Górny, Dolny, Ziemia Gorzowska.

Zacznijmy od początku, czyli od tzw. osób dramatu. Nie ma tu dziś warunków, aby mówić o moich rozmowach sprzed lat z panem Czają (byłym asysten-

tem Uniwersytetu Jagiellońskiego w roku akademickim 1938/39) ani z panem Hupką w latach 80. Artur Hajnicz już w pierwszej połowie lat 80. rozmawiał jako nieoficjalny przedstawiciel opozycji demokratycznej w Polsce z wieloma osobami w Niemczech i chyba nie mógł powiedzieć, że stoi za tym jakaś formalna grupa czy partia polityczna. Ja rozmawiałem odrębnie z Aloisem Mertesem, odrębnie rozmawiał z nim Hajnicz, i bardzo dobrze, bo była to wymiana różnych opinii wolnych ludzi. Pani Steinbach nigdy nie poznałem, aczkolwiek kiedy jeszcze byłem senatorem RP i przewodniczyłem Komisji Spraw Zagranicznych i Integracji Europejskiej Senatu, przyjechała do Warszawy; przy pomocy ówczesnego ambasadora Niemiec szukała kontaktu ze mną. Porozumiałem się telefonicznie z ministrem spraw zagranicznych prof. Geremkiem i ustaliliśmy, że nie będę rozmawiał z panią Steinbach i że powinna się ona spotkać raczej z kimś miarodajnym z koalicji rządzącej niż z senatorem bezpartyjnym, aczkolwiek zainteresowanym sprawami niemieckimi. Przekonaaliśmy do tego panią posłankę Irenę Lipowicz, Górnoślązaczkę urodzoną w Gliwicach; uważałem, że będzie to bardzo dobra rozmówczyni dla pani Steinbach. Rozmowa trwała parę godzin, relację z niej otrzymał minister spraw zagranicznych, a także ja jako przewodniczący Komisji. Była to zasadnicza rozmowa pań o nierównych tytułach, bo pani Lipowicz ma dużo większy tytuł do zabierania głosu w tych sprawach niż pani Steinbach. Legitymizacja historyczno-biograficzna pani Steinbach, poza jej formalnym przewodnictwem organizacji środowiskowej, jest dokładnie taka, jak gdyby dzieci żołnierzy amerykańskich, urodzone i wychowane w garnizonie okupacyjnym w Garmisch Parten-Kirchen czy w Augsburgu, po wojnie domagały się od rządu Niemiec prawa do ojczyzny, bo tam się urodziły i niekiedy dożyły wieku szkolnego. Były to dzieci żołnierzy okupacyjnych, podobnie jak ongiś pani Steinbach: jej ojca wysłano do Wejherowa i nikt nie ma o to do niego pretensji. Fakty są takie, że jej stosunek biograficzny do spraw wypędzenia jest porównywalny ze stosunkiem dzieci amerykańskich do miejsca ich urodzenia w Niemczech.

W październiku 2000 r., będąc ministrem spraw zagranicznych, pojechałem na Międzynarodowe Targi Książki do Frankfurtu nad Menem. Byłem tam dwa dni, brałem udział w kilku panelach. Na jeden z nich przyszła pani Steinbach i w sposób demonstracyjny mnie oklaskiwała. Bardzo to miłe. Zgłosiła do organizatorów chęć porozmawiania ze mną, ale ja miałem inne pilne terminy i nie zdążyłem się z nią spotkać. Tak pozostało do dziś, nie znamy się z panią Steinbach i nie mamy do siebie żadnego osobistego stosunku, ani pozytywnego, ani negatywnego; mogę oceniać tylko jej działania podejmowane publicznie.

Pani Steinbach odbyła rozmowy z panem Stoiberem, kiedy zaczął kandydować na kanclerza Niemiec, aby zdobyć poparcie dla realizacji swojego projektu. Stoiber zapewnił ją o swojej życzliwości dla tego programu.

Premiera Stoibera znam długo. Poznałem go przed laty, kiedy byłem profesorem gościnnym na Uniwersytecie Monachijskim; nie mam pewności, czy pani Steinbach już wtedy zajmowała się sprawami wypędzonych. Latem 2001 roku premier Stoiber był w Warszawie, z kilkudziesięciosobową grupą parlamentarzystów CSU. Spędziliśmy wieczór przy kolacji z żonami, z panem Stoiberem i z panem Glückem, przewodniczącym frakcji parlamentarnej CSU w Landtagu Bawarskim, czyli frakcji rządzącej, a zarazem członkiem Centralnego Komitetu Katolików Niemieckich. Rozmawialiśmy parę godzin. Stoiber nie był jeszcze zdecydowany, czy będzie kandydował. Nie było między nami żadnych spornych kwestii. Również moje wcześniejsze kontakty z panem Stoiberem były jak najlepsze. Kiedy przestałem być ministrem, a w tym czasie idea centrum wypędzenia zaczęła się przyjmować w pewnych kołach w Niemczech, miałem wspólne wystąpienie we Frankfurcie nad Menem na temat „Polska - Niemcy - Unia Europejska” z panem Wolfgangiem Schäuble. Zналиśmy się od lat, a ja już nie byłem ministrem, a więc nie byłem skrępowany w wypowiedzaniu swoich poglądów; nie zarejestrowałem niczego, co mogłoby obudzić moją czujność, bo też nie było tego ani w głowie, ani w wypowiedziach Schäublego. Ktoś prawdopodobnie doradził premierowi Stoiberowi użycie tego argumentu wśród licznych mów przedwyborczych, jakie wygłasza na różne tematy, np. rolnictwa, przemysłu czy bezrobocia. Ta mowa była - moim zdaniem - bardzo *moderato*, co więcej - Edmund Stoiber nas tam chwalił, i to w kilku punktach, chciał nawet wbić tzw. klin między nas i Czechów.

Na marginesie chciałbym powiedzieć, że nie widzę polskiego interesu w działaniach publicznych na rzecz Republiki Czeskiej idących dalej niż działania Republiki Czeskiej na rzecz racji polskiej; widzę natomiast dobrą rację w lojalnym współdziałaniu Grupy Wyszehradzkiej, która kilkakrotnie była zawieszana w wyniku ówczesnej polityki czeskiej. Mogę to stwierdzić z całą odpowiedzialnością, jako dwukrotny minister spraw zagranicznych, że gdyby polityka czeska była wtedy lepiej nastawiona do współdziałania w Grupie Wyszehradzkiej, która była pomysłem Vaclava Havla, a przez nas była bardzo gorąco popierana, a także przez Węgrów, ale nie przez Czechów, to prawdopodobnie byłibyśmy dalej o wiele bardziej zaawansowani w tym integracyjnym działaniu. Reprezentowałem w Grupie Wyszehradzkiej pogląd, że jeżeli istnieje w Unii Europejskiej coś takiego jak Benelux, to może istnieć także

Grupa Wyszehradzka, która mogłaby wejść razem do Unii. To było chętnie przyjmowane przez Węgrów, dość chętnie przez Słowaków, natomiast nie natrafiało na chęć działania ze strony polityków czeskich. Można mówić dziś o tym zjawisku z perspektywy historycznej, rząd czeski zmienił się, więc należy mieć nadzieję, że sytuacja ulegnie poprawie.

Pozwoliłem sobie jasno powiedzieć kilka rzeczy w Niemczech, ostatnio 10 maja 2002 r. dziennik „Die Welt” opublikował moją głosę o dekreтах Benesza. Przypomniałem czytelnikom, że w 1945 r. Czechosłowacja była demokratycznym państwem na wschodzie Europy, rządzonym przez wolny rząd, mający legitymizację z wolnych wyborów, a Benesz był jakby skrzyżowaniem Sikorskiego z Mikołajczykiem; w każdym razie był politykiem, który wrócił z Londynu, cieszył się poparciem, i to bynajmniej nie skrajnej lewicy. To, co robił wtedy Benesz, było w ramach wewnętrznego prawodawstwa w pełni legitymizowane przez naród. Natomiast w Polsce nie było ani jednego dnia rządu suwerennego, gdyż otrzymaliśmy rząd przywieziony samolotem z Moskwy, który prowadził politykę zagraniczną wspólną z polityką zagraniczną Związku Radzieckiego. Do redakcji „Gazety Ludowej” Stanisława Mikołajczyka, w której pracowałem w 1946 r. jako młody redaktor, przyjeżdżali m.in. dziennikarze z partii agrariuszy czeskich na wymianę myśli; rozmawiałem z nimi tak jak z innymi dziennikarzami „zachodnimi”. Edmund Stoiber wkomponowuje się ostatnio w istniejący krajobraz polityczny w Niemczech, w sprawę tworzenia centrum wypędzonych, ale zanim wkomponował się Stoiber, wcześniej zrobił to pan Meckel.

Markus Meckel, znany dobrze Arturowi Hajniczowi, mnie znany jest z późniejszego okresu, kiedy przez jakiś czas stałem na czele polsko-niemieckiej grupy parlamentarnej Sejm-Senat, zanim zostałem ponownie ministrem spraw zagranicznych (mam na myśli lata 1998-2000). Meckel przewodniczył niemiecko-polskiej grupie parlamentarnej w Bundestagu: byliśmy więc odpowiednikami, on przyjeżdżał sam lub z delegacjami do Polski, ja też tam jeździłem. W naszych grupach działali parlamentarzyści z różnych odłamów politycznych. Pan Meckel jest z zawodu pastorem ewangelickim, należy do kategorii tzw. czerwonych pastorów z SPD, to człowiek życzliwy dla Polski i Polaków, a także dla realizacji współpracy regionalnej i różnych form zbliżenia. Toteż nie odmówiłem jego zaproszeniu już jako eksminister i tu zacznie się przez nikogo niewyreżyserowane sprzężenie dramatyczne: 23 czerwca 2002 r. przemawiał w Lipsku pan Stoiber, tego samego dnia w Schwedt an der Oder mieliśmy we dwóch z Meckelem rozmowę publiczną. Obaj nie wiedzieliśmy

o niczym, ale pan Meckel powiedział mi, że w Bundstagu niebawem odbędzie się dyskusja i głosowanie nad projektem dwóch rezolucji. Jeden projekt to utworzenie centrum wypędzonych w Berlinie, drugi - utworzenie centrum badania tej problematyki w wymiarze europejskim, z uwzględnieniem losów i Niemców, i Polaków, bez określenia miejsca.

Pan Stoiber obiecał, że jeżeli zostanie kanclerzem, to będzie próbował nadać sprawie centrum przyspieszenia. Z drugiej strony wiemy o pewnej niezręczności Meckela, który nie pytając gospodarzy o zgodę, już chciał się wprowadzać do Wrocławia. Chciał dobrze, ale wykazał niedostateczne wyczuwanie reguł gry dyplomacji międzynarodowej. Nie powinno się na przykład zdarzyć, że poseł z partii kanclerza Niemiec mówi coś, czego kanclerz nie sygnalizował jako koncepcji premierowi Polski; w Polsce wywołało to żywą dyskusję. Rozpatrując rzecz w kategoriach europejskich, powiedziałbym, że jestem „przeciw”, ale ogólnie „za”. Nie widzę powodu do stworzenia takiego centrum w Polsce czy w Niemczech, ale jeśli już, to bądźmy realistami i pomyślimy o utworzeniu czegoś europejskiego, gdzie losy narodów byłyby rozpatrywane kolejno, poczynając od wysiedleń i terroru jesienią 1939 r. i w następnych miesiącach itd.

Sprawa centrów bardzo ludzi podnieciła, szczególnie czytelników masowych pism. Na przykład „Der Spiegel” rozpoczął w tym roku czteroodcinkową serię pt. „Vertreibung”. To opiniotwórcze pismo czyta parę milionów ludzi, i to ludzi myślących kategoriami politycznymi. „Spiegel” uważał zainteresowanie czytelników za tak znaczące, że postanowił wydać *Sonderheft*, który ukazał się 18 czerwca 2002 r., na kilka dni przed wystąpieniem pana Stoibera i przed naszą rozmową z Meckelem. *Sonderheft* jest sprzedawany tygodniami, aż do wyczerpania nakładu we wszystkich kioskach, w których dostępna jest prasa niemiecka. Zaproponowano mi udział w tym zeszycie: poza przedrukiem poprzednich tekstów, kilka nowych komentarzy do starych tekstów i do nowych dyskusji. Byli u mnie dwaj dziennikarze, wybraliśmy najciekawsze zdjęcia, udzieliłem im czterokolumnowego wywiadu, który - po autoryzacji - opublikowano. Widzimy zainteresowanie opinii niemieckiej, mamy efekty działania przedwyborczego, jak zatem należy patrzeć na tę trudną sytuację z punktu widzenia polskiej polityki? Prawny punkt widzenia przedstawił mój przedmówca; to, co podał u nas MSZ, jest prawdziwe, rzeczywiście wiele ustaw zostało uchylonych, ale były to ustawy o drugorzędnym znaczeniu. Dekret z września 1946 r., a więc wydany długo po Poczdamie, o wyłączeniu ze społeczeństwa polskiego osób narodowości niemieckiej, dotyczył kategorii

volksdeutschów i jest to sprawa, która dziś już nikogo nie obchodzi. Podobnie słusznie przypomniano w „Gazecie Wyborczej”, że ustawa o obywatelstwie państwa polskiego osób narodowości polskiej zamieszkałych na ziemiach odzyskanych też została już w 1951 r. uchylona, bo sprawa została rozwiązana. Dopiero potem obywatele polscy zaczęli się upominać o obywatelstwo niemieckie, twierdząc, że są Niemcami, i wielu z nich uzyskało prawo do wyjazdu. Ocenia się, że w ciągu trzydziestu lat wyjechało z tych terenów około sześciuset tysięcy osób, o czym notabene wcale nie informowano społeczeństwa polskiego. Jeśli chodzi o ustawę z 13 stycznia 1946 r. o przejściu na własność podstawowych gałęzi gospodarki narodowej, to nie zawiera ona rozróżnienia ze względu na pochodzenie, wyznanie czy klasę. Dotknęła w niektórych miastach bardzo boleśnie Niemców, Ukraińców, Żydów, Polaków; na pewno nie była to ustawa specjalnie antyniemiecka. Nie ma to nic wspólnego z tzw. dekrétami Bieruta, notabene Bierut nie był w 1946 r. ani premierem, ani pierwszym sekretarzem, ot, dowolnie wybrane nazwisko; były to dekrety ówczesnych władz, Krajowej Rady Narodowej.

Podsumowując, z naszego punktu widzenia podstawą do działań Polski była umowa poczdamska, wspomniany art. 13 dotyczący transferu ludności. My uważamy, że było to przymusowe wysiedlenie, w Niemczech używane jest określenie Vertreibung (wypędzenie - przyp. red.). Nie ma na to rady, do tej pory nie udało mi się przekonać nawet moich przyjaciół Żydów, aby zaczęli używać słowa Vertreibung na właśnie Vertreibung np. Żydów wielkopolskich do getta w Łodzi; oni używają określenia „przymusowe wysiedlenie”. Są to różnice leksykalne, tradycji, języka, polityczne, niech będą, ale chodzi o całościowe spojrzenie na problem.

Do wysiedleń doszło w wyniku inicjatywy Winstona Churchilla w Teheranie, w ostatniej dekadzie listopada 1943 r.; były wtedy także inne plany rozwiązania po wojnie problemów Niemiec i Niemców, niektóre wręcz krwawe. Stalinowi się podobały, ale trochę je łagodził. Plan transferu był stosunkowo humanitarny na tle tego, o czym rozmawiano już w Teheranie, choć na pewno był on realizowany bardzo różnie. Chciałbym w tym miejscu podkreślić, że polskie mity i legendy są trwalsze od wszystkiego - od pióra, atramentu, cyrografu. Nawet dziennik „Rzeczpospolita”, bardzo poważne pismo na polskiej scenie prasowej, w jednym zdaniu napisał, że minister Bartoszewski „przeproszał w Bonn za wypędzenie”. Tymczasem ja wyraziłem ubolewanie wobec przypadków, kiedy niewinni ludzie zostali dotknięci skutkami tego wysiedlenia, wobec nadużyć czy cierpień spowodowanych sposobem dokonywania wysiedleń. Nie

powiedziałem, że wszyscy są niewinni i że nie mam żadnego wyrozumienia dla powieszenia np. Hössa lub Stroopa. Zapytano mnie w „Spieglu”, co sądziłem w 1946 r. o wysiedleniu Niemców. Powiedziałem, że ci sami ludzie, którzy popełniali w sprawie wysiedlenia brutalne nadużycia, zamknęli mnie i trzymali w więzieniu, mordowali moich kolegów. Czy miałem się wtedy przejmować wysiedlaniem, czy to było moje główne zmartwienie? Nie jestem tak obłudny, aby twierdzić, że się tym wtedy przejmowałem. Później oczywiście było mi wstyd, że niektórzy moi rodacy dopuszczali się podobnych rzeczy, ale to są różne sprawy – osąd historyczny, podstawa prawna a moralne refleksje człowieka. Nie sądzę, by ówczesni księża polscy martwili się tym, że wysiedla się Niemców, raczej martwili się, że trzeba zapewnić opiekę przybywającym bydłęcymi wagonami rodzinom; na pewno natomiast nie pochwalali gwałtów i zabójstw. W czasie powstania warszawskiego funkcjonariusze gestapo i SS, którzy wpadli w ręce powstańców, byli rozstrzeliwani; żołnierze Wehrmachtu byli uważani za jeńców – grupa stu kilkudziesięciu takich jeńców została oddana korpusowi Von dem Bacha w październiku 1944 r. i nie było żadnych głosów o maltretowaniu tych ludzi. Przeżyłem różne rzeczy i muszę powiedzieć, że nie możemy zakłamywać się w naszej anielskiej dobroci i twierdzić, że cały naród polski, ponieważ jest katolicki, tylko płakał nad tym, że niektórych ludzi spotyka krzywda. Tak nie było, Naród polski wiedział przecież o hitlerowskiej doktrynie wojny totalnej i odczuwał jej skutki.

Powiedziałem to wszystkim Niemcom, po czym oni zadali mi pytanie, jak mogę na to spojrzeć w kategoriach politycznych. Otóż kampania wyborcza się skończy i 22 września 2002 r. będzie wybrany nowy parlament, a potem utworzony nowy rząd. Czy jeżeli Edmund Stoiber zostanie kanclerzem, będzie to dla Polaków dobrze czy źle? Powiedziałbym tak: dotychczasowa praktyka partii chrześcijańskiej demokracji CDU/CSU w ostatnich kilkunastu latach była bardziej jasna niż praktyka poprzednich rządów SPD/FDP. Mamy niezłą pamięć historyczną i pamiętamy wypowiedzi Bahra, Schmidta dnia 13 grudnia 1981 r. o wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Co do CDU natomiast, to i w wypowiedziach Aloisa Mertesa, poprzednio drugiej osoby w MSZ przy Genscherze, i w zachowaniu samego Genschera z FDP, koalicjanta CDU, a także kanclerza Kohla, o którym mogę powiedzieć, że znam go dobrze, spędzałem z nim dziewięć razy wakacje, były jednoznaczne odniesienia do historycznej wizji Europy. Niemcy chrześcijańskie, w tym katolickie, mają nam, Polakom, do zawdzięczenia wiele. Kohl nadal twierdzi, że bez „Solidarności” w 1980/81 r. nie byłoby zjednoczenia Niemiec w tym tempie, i powtórzył to również w kam-

panii przedwyborczej Stoibera we Frankfurcie nad Menem. W rozmowie ze mną wspominał jedno z największych przeżyć swego życia: jak przechodził z papieżem pod Bramą Brandenburską i Ojciec Święty powiedział do niego: „Widzi pan, panie kanclerzu, i dożyliśmy tego”, po czym uściśnął mu dłoń. Mówił, że nigdy tego nie zapomni, bo to był nie tylko sam papież, ale to był też Polak. W gazetach tego nie ma, ale ja wiem, że on przywiązuje ogromną wagę do pogłębienia stosunków polsko-niemieckich i że tak myśli wielu polityków z jego otoczenia – Schäuble, Roland Koch i wielu innych. Są też fakty, może drobne, cząstkowe, zetknął się z nimi każdy z naszych dyplomatów, kto pracował w Niemczech i się tym zajmował.

Jeżeli pozostanie obecna konstelacja rządowa czy podobna pod przewodnictwem kanclerza z SPD, to mamy w Polsce premiera z SLD i nasze stosunki, również na drodze do Europy, obejdują się bez większych danin. Jeżeli będzie inna konstelacja, związana z nazwiskiem, o którym tyle mówimy, to na pewno nie będą ważne takie wypowiedzi, jak ta o dekretych Bieruta; wystarczy dać do kancelarii lepszego doradcę do spraw prawnych czy polityki zagranicznej i już to się nie powtórzy. Przypomnijmy, że taki prawy, dobry, przyzwoity człowiek, jakim był Roman Herzog, który drżącym głosem przeproszał 1 sierpnia 1994 r. warszawskich powstańców i mieszkańców Warszawy za to, co się stało, na trzy tygodnie przedtem powiedział dziennikarzom w Niemczech, że jest bardzo przejęty tym, że jedzie na rocznicę powstania w getcie warszawskim. Znałem go dobrze, widywałem się z nim jeszcze zanim został prezydentem, później jako prezydent był naprawdę zaangażowany; ta nić porozumienia z Polską była bardzo widoczna. Był wierzącym protestantem z Bawarii, z praktykującej rodziny, takim samym zresztą jest Johannes Rau. Wychowany w głęboko religijnej atmosferze, uważał, że krzywda i niemoralność mszczą się, że grzech trzeba odpokutować, a był prezydentem Niemiec. To ważne, bo różni prezydenci w Europie różnie uważają.

Na pocieszenie ostatnie słowo: nie bójmy się żadnych rozwiązań, nie ma czego się bać, nas nie można pominąć. Wszystkie dziewięć pozostałych krajów kandydujących do Unii Europejskiej razem nie ma tyle ludności, ile jedna Polska. Można oczywiście, co powiedziałem w Niemczech na zebraniu poświęconym Unii Europejskiej, zastosować jedną z dwóch taktyk: jak ktoś ma gruźlicę, to można go wyszmkować i pokazać, że kwitnąco wygląda, ale czy mu to pomoże, czy zapobiegnie rozwojowi choroby? Otóż Unię Europejską można szmkować, albo można ją wyleczyć, zreformować, przemyśleć, gdzie są błędy, co trzeba zmienić. Podretuszować zawsze można, tylko po co? To jest

zbyt kosztowne i będzie o tym wiedział każdy niemiecki rząd, bo Niemcy leżą tu, na mapie Europy. CDU/CSU jest nie mniej pragmatyczne w ocenie historycznych interesów Niemiec, w ocenie interesów banków i przemysłu, eksportu i rynku niż SPD i Zieloni.

ANDRZEJ HAŁACIŃSKI

Chciałbym zabrać głos jako ojciec dziesięcioletniej córki i syn siedemdziesięcioletnich rodziców. Padła tu teza, że powinniśmy patrzeć w przyszłość. Ze względu na dzieci to wiadomo, a ze względu na rodziców dlatego, że można skonfrontować ich reakcję na wypowiedź Stoibera, która była krótka i brutalna - „bezczelni hitlerowcy”.

Chciałbym podzielić się kilkoma uwagami dotyczącymi reakcji ze strony przedstawicieli władz. Pan minister Bartoszewski wspominał o wypowiedzi pani Steinbach i konieczności reagowania przez rząd na tego typu wypowiedzi w interesie Polaków i samej Polski. W moim odczuciu taka odpowiedź została udzielona. Pan Andrzej Hajnicz ujął tezę pana Stoibera w formule „Benesz und Bierut, dass klingt besser”. Myślę, że odpowiedzią ze strony polskiej powinno być „aber nicht in polnischen Ohren”. Odpowiedź była stanowcza, nie była wymijająca. Moim zdaniem pojawia się jeszcze jeden wątek, na razie nieobecny w tej dyskusji „Benesz - Bierut - Niemcy”: czy nie jest trochę tak, że Bierut dotyczy też Polaków, czy nie jest to punkt odniesienia do losów Polaków z okresu Bieruta?

Druga rzecz. Jak zrozumiałem ze słów pana Hajnicza, wypowiedź pana Schäublego podczas jego rozmów w Warszawie miała inną wymowę. Moje pytanie jest takie: czy w rozmowach tych nie znalazły się przypadkiem sformułowania, które będą dla Polaków, w tym dla polskiego rządu, swego rodzaju punktem zaczepienia w przypadku, gdyby chadecja wygrała wrześniowe wybory?

Kolejna kwestia - chciałbym zwrócić uwagę na to, iż dyskusja, która toczy się w sprawie ważności lub nieważności szeregu aktów prawnych z połowy lat 40., jest chyba bardziej dyskusją publiczną aniżeli dyskusją, w którą angażują się polskie władze. Powinniśmy pamiętać, że to nie rząd jest tym, który zabiera głos.

Jeżeli chodzi o ideę centrum wypędzonych, dziś poddaną w Bundestagu pod głosowanie, to prawdopodobnie nie będzie debaty na temat, czy może oprócz Drezna lub Wrocławia nie powinno powstać takie centrum dla Bałkanów, jeśli spojrzeć na lata 90. i na to, co się wtedy działo w tym regionie.

JEREMI SADOWSKI

Mam krótkie pytanie o kontekst. To, o czym mówiliśmy, można rozpatrywać w kontekście kampanii wyborczej, ewentualnej zmiany rządu, ale nie wiem, czy nie byłoby celowe pytanie o „Niemcy a polityka Europy Środkowej”. Istnieje wieloletnie zadrażnienie między Czechami i Niemcami, i gdyby miało się to w jakiejś mierze przenieść na Polskę, to jak w takich warunkach prowadzić politykę? Czy jest to sygnałem słabnięcia zainteresowania Niemiec polityką Europy Środkowej?

ANDRZEJ ZIEMILSKI

Mam pewną przewagę nad większością. Ja wysiedlałem Niemców z Gliwic, ja o tym pisałem, drukowali to Niemcy pt. „Jak wysiedlałem Horsta Bienka”. Osobiście go nie wysiedlałem, ale był ogromny tekst w prasie niemieckiej, a w telewizji miałem rozmowę z Horstem Bienkiem na krótko przed jego śmiercią. O Gliwicach napisałem w książce „Dobry Niemiec. Opowiadania prawdziwe”. Chciałbym zwrócić uwagę na jeden fakt: nie jestem dyplomatą ani prawnikiem i nie wiem, jak sytuuje się określenie „dekrety Bieruta” w semantycznej strukturze dyplomacji. Byłem w Gliwicach w końcu lutego, w polskiej grupie operacyjnej, która przejmowała od sowieckiej Opolszczyznę oraz rejon Zabrze i Gliwic. Nie było to bezpośrednio wpływem Jałty, a Poczdamu jeszcze nie było. Myśmy już wtedy wiedzieli, że te ziemie będą polskie. Nie należy się łudzić, że jeżeli któryś z dyplomatów czy polityków niemieckich napisze „dekrety Bieruta”, a my odpowiemy, że takich dekretów nie było, to oni zgubią ten fakt gdzieś w mrokach historii. Oni do tego na pewno trafią. Kiedy codziennie przychodziły trzy pociągi z Polakami z moich stron, to nie miałem wielu skrupułów, aby ich jakoś ulokować. Wcześniej ludzie byli czyści jak lza, ale po czterech latach miejscowi mieszkańcy zmienili się, widać to na zdjęciach z frontu, już nie mieli nieskalanej biografii. Dziś można sądzić innymi kategoriami, pisząc to dwadzieścia lat temu do „Polityki”, a następnie wydając pięć lat temu książkę, sądziłem innymi. Nie łudźmy się, że przekreślając jedno sformułowanie „dekrety Bieruta”, przekreśli się całą sprawę. Kończąc, Bierut przyjechał do Gliwic, orkiestra NKWD grała hymn Polski i garstka Polaków, niewykończona przez faszystów, nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Historia wygląda trochę inaczej, niż przedstawia się ją w świetle not dyplomatycznych.

RÓŻA THUN

Nie zapomnę tego, jak robiliśmy z panem Arturem Hajniczem konferencje

o wypędzeniu i jak pan Artur witał się Hupką. Dla mnie było to wydarzenie historyczne i odnosiłam wrażenie, że nie tylko biorę w nim udział, ale i sama je tworzę. Dzisiejsza debata jest podobnym wydarzeniem.

Kilka dni temu gościliśmy lokalnych polityków z CDU. Mówię: „Steinbach schlagt vor”, a oni między sobą „wer ist dieser Herr Steinbach”? Lokalnym politykom nazwisko Steinbach nie mówi nic. Kiedyś ktoś z Fundacji Adenauera powiedział, że to my sami przez nasze media nagłaśniamy w Polsce panią Steinbach, bo w Niemczech ona w ogóle nie jest znana.

Co do gafy Meckela, którą popełnił mówiąc, że Wrocław jest świetnym miejscem na centrum, to znam ją z relacji „Rzeczpospolitej”; wydaje mi się, że to stwierdzenie padło podczas takiego spotkania jak dzisiejsze i dlatego nikt chyba specjalnie nie narusza naszej gościnności.

Najwięcej mówimy tu o Stoiberze i o pani Steinbach, a przecież są ogromne rzesze ludzi, z którymi można się tam dogadać. Proszę spojrzeć na żywe reakcje przeciwko wypowiedzi Stoibera, na którą my oczywiście musimy reagować, i na tych, którzy chcą robić europejskie centrum przeciw wypędzeniom, a nie pomnik nienawiści w Berlinie przeciwko Polakom, Czechom. Dziś wieczorem będzie głosowany wniosek w Bundestagu, jutro można będzie przeczytać o tym w Internecie i w prasie. Jeżeli traktujemy poważnie integrację europejską i konieczność wspólnej rozmowy o europejskiej historii, to dlaczego nie weźmiemy na siebie promowania europejskiego centrum przeciwko złym rzeczom, które miały miejsce w historii? W ten sposób moglibyśmy odciąć się od pani Steinbach, może byłby to konkret, na którym można zbudować coś pozytywnego, a nie tylko koncentrować się na negatywach.

ADAM STRZEMBOSZ

Chcę powiedzieć o rzeczy drobnej, ale odnoszącej się do dekretów Bieruta, których oczywiście nie było. Mianowicie polska wrażliwość na temat tego, iż Niemcy mogą upomnieć się nie tylko o to, że ich skrzywdzono, wypędzono i należy im się jakieś odszkodowanie, ale o ziemię na terenie zachodnim i północnym, jest ogromna. Kwestia własności na ziemiach zachodnich i północnych, a należy pamiętać, że jej odebranie indywidualnym właścicielom jest naruszeniem innego prawa własności, to rzecz niezwykle ważna i wymagająca niezwłocznego uregulowania. Dyskusja toczy się nad tym, czy można zrobić to z urzędu, jednym aktem, czy też na podstawie konkretnych wniosków, ale na pewno należy pomóc tym, którzy takiego wniosku nie złożą, by uczynili to raz na zawsze.

KLAUS ZIEMER

Kilka tygodni temu rozmawiałem z historykiem niemieckim, który razem z żoną, Czeszką z pochodzenia, przygotował i opublikował książkę o Niemcach sudeckich. Przez cały czas czytał prasę wypędzonych i dopiero mniej więcej rok temu pojawił się tam termin „dekrety Bieruta”. Powiedział, że kilka lat temu nawet Niemcy sudeccy nie znali dekretów Benesza. Stworzono nowe, chwytliwe hasło polityczne „dekrety Bieruta”. Zapytał mnie kolega, znany politolog w Niemczech, kto to był Bierut; Niemcom, którzy naprawdę nie znali Bieruta, podano, że był to polski Stalin. Dopiero w tym roku po raz pierwszy przeczytałem określenie „dekrety Bieruta” w liście do redakcji „Frankfurter Allgemeine Zeitung”; mój kolega historyk powiedział, że przyjmie się to zapewne także w polityce. Dlatego nie byłem zbyt zdziwiony, kiedy pan Stoiber mówił o dekretach Bieruta, ale na szczęście są ludzie trzeźwo na to patrzący. Korespondent „Frankfurter Allgemeine Zeitung” w Warszawie, Michael Ludwig, zwrócił się do prof. Borodziejza z zapytaniem, o co chodzi, a profesor zauważył, że nie ma już takiego ustawodawstwa, i gazeta na czołowym miejscu szeroko o tym pisała. Schäuble powiedział, że nie będzie zmiany w polityce niemieckiej po wyborach, wiedzą to elity polityczne, ale takie stwierdzenia wśród społeczeństwa budzą natychmiastowe obawy. Najbardziej bowiem boli nadszarpnięcie zaufania między społeczeństwami polskim i niemieckim, polityka będzie taka sama. To prawda, pani Steinbach jest nieznana w Niemczech, a w Polsce można powiedzieć, że zna ją każde dziecko. O głosowaniu w Bundestagu dowiedziałem się z polskich mediów, w niemieckiej telewizji nie było ani słowa na ten temat.

Pamiętać należy o tym, że jest to okres przedwyborczy, a życie między samymi społeczeństwami toczy się dalej. Wydaliśmy ostatnio książkę o stosunkach polsko-niemieckich 1934-1945-1949, na targi we Frankfurcie, gdzie Polska była gościem honorowym. Co więcej, Federalna Centrala Edukacji Obywatelskiej dodrukowała trzy tysiące egzemplarzy dla dziennikarzy, nauczycieli; nakład jest już wyczerpany.

Dla mnie jest bardzo ciekawe, dlaczego dziś tak dużo mówi się o wypędzeniu w Niemczech, jest to wręcz temat modny. Należy jednak pamiętać o tym, że każde pokolenie odkrywa historię na nowo, i że teraz doszło do zmiany pokoleń w Niemczech. Obecnie pokolenie prawie nic nie wie, bo nie mówiono o tym w szkołach. W latach 80. przygotowywałem często maturzystów na wyjazdy do Polski i rozmawiałem z nimi o drugiej wojnie światowej, o polityce okupacyjnej, a także o losach Niemców po wojnie. Uczniowie pytali mnie, czy

były tam jakieś pogromy przeciwko Niemcom, nauczyciele stali obok, nie wiedzieli, gdzie patrzeć. Nie było nic wiadomo, dyskutowano o tym tylko w kręgach skrajnej prawicy. Tak nie może być, jest to ważne i należy o tym mówić, ale w określonym kontekście. Jeżeli chodzi o ocenę tych faktów, to nie ma dziś różnic między historykami polskimi i niemieckimi, prowadzimy ze sobą dialog.

Nie rozumiem, dlaczego pan Meckel, którego bardzo cenię, poparł żądanie pani Steinbach, jest to jej ulubiony temat od lat, ale ona nigdy nie miała większości. Teraz podchwyciła go druga strona, być może dlatego, że jest modny, i jeżeli miałyby już powstać takie centrum, to nie jako przedsięwzięcie polsko-niemieckie, lecz w kontekście europejskim. Kiedy 18 czerwca Schröder był we Wrocławiu, podpisano umowę o powstaniu centrum im. Willy'ego Brandta, przygotowaliśmy je prawie dwa lata i pytano nas na miejscu, czy to nasze centrum ma być tym centrum wypędzonych. Byłbym za centrum europejskim, dotyczącym nie tylko drugiej wojny światowej, ale także pierwszej. Obawiam się jednak, że jeśli wygra chadecja, pani Steinbach „otrzyma” centrum w Berlinie ku czci pokrzywdzonych Niemców.

ELŻBIETA SKOTNICKA-ILLASIEWICZ

W kontekście naszej dyskusji chciałabym postawić pytanie i w pewnym sensie zakwestionować tezę pana ministra o przyjazności Niemców wobec Polaków, ponieważ przyjazność elit niemieckich politycznych jest czym innym niż przyjazność naszych narodów. Sam fakt niesłyszanej popularności tego tematu, to, że można na tym po prostu zarobić, dowodzi, iż w gruncie rzeczy jego bolesność nie zmniejszyła się. Może po naszej stronie tak, ponieważ my musieliśmy bardzo głęboko przeanalizować nasze stosunki i naszą drogę do Unii, ale w analizie badań społecznych po obu stronach niestety nie widać tego postępu. Polacy dokonali większego wysiłku w przewartościowaniu stosunku do Niemców; mimo zmiany stosunku elit niemieckich, w społeczeństwie nie ma woli zmiany, poznania czy zrozumienia. Z artykułu prof. Labudy opublikowanego w „Gazecie Wyborczej” nie wynika, aby w Niemczech był postęp w tej dziedzinie, można wręcz odnotować pewien regres. Pozwoliłam sobie zakwestionować to stwierdzenie, aby nie mówić tylko o relacjach elit politycznych, ale o rzeczywistych relacjach między naszymi narodami, tym bardziej że to właśnie one odegrają dużą rolę po przystąpieniu Polski do Unii.

JOANNA KURCZEWSKA

Pozwolę sobie kontynuować wątek społeczny, ponieważ uważam, że

dopiero mówienie o nastawieniu społeczeństwa pozwoli odpowiedzieć na pytanie, dlaczego gdzieś się dyskutuje na dany temat, dlaczego pewne tematy są modne. Nie chodzi wymiar wąsko pojmowanych elit społecznych, tylko wymiar całego społeczeństwa i zadanie sobie okrutnego pytania, jakie jest przełożenie tego, o czym dyskutują politycy, na to, co dociera do społeczeństwa, i jakie są reakcje na te opinie. Jak polityka pamięci formułowana przez polityków i historyków jest odbierana przez społeczeństwo, co znajduje się w nowych podręcznikach szkolnych - to są zupełnie inne światy społeczne.

Dla mnie istotne jest to, że jeśli spojrzymy na głosy ważne w kampanii wyborczej w Niemczech, które zostały narzucone nam przez prasę, to czy tego chcemy, czy nie, staje się to faktem społecznym. W ubiegłym roku dyskutowaliśmy o Jedwabnem, w tym bądź przyszłym będziemy dyskutować o wypędzonych, i słusznie. Pamięć społeczna w naszym kraju jest narzucana przez media, jest konstruowana, znajdujemy się w takim tyglu pamięci, przekaz rodzinny jest niezmiernie ważny, i często bardzo różni się od tego, co jest formułowane w prasie. Ważne jest to, w jaki sposób dyskutujemy i jakie kategorie narzucamy w tej dyskusji.

KATARZYNA KOŁODZIEJCZYK

Chciałabym zwrócić uwagę na dwie kwestie. Po pierwsze, każdy naród ma prawo i kieruje się własną perspektywą. Ta perspektywa często ulega zmianom, mamy nowe pokolenie, na to także zwrócili uwagę historycy niemieccy. Miało to swój oddźwięk w artykule pana Krasnodębskiego, że ta perspektywa spojrzenia na nie dość odległą historię Niemiec uległa odwróceniu. Niemcy nie czują się już tak bardzo odpowiedzialni, natomiast wołają inaczej spojrzeć na to, co się stało, i uznać, że to oni - Niemcy - byli pierwszą ofiarą Hitlera. Skutki takiego spojrzenia odczuwamy, uważam, do dziś. Taką świadomość zmiany perspektywy miał pan Stoiber, mamy tu do czynienia z jedną z największych wad demokracji - instrumentalizowaniem faktów politycznych. Spójrzmy na Cmentarz Orłąt i na to, jak bardzo oddala się jego otwarcie. Uważam, że wynika z tego jeden wniosek: każdy naród musi kierować się swoją perspektywą, ale to od nas samych zależy, czy ta perspektywa mija się z faktami, czy też nie. Wydaje mi się, że odpowiadać trzeba zawsze, tylko należy znaleźć odpowiedni ton. Niemcy są także zmęczeni ciągłym adresowaniem oskarżeń w ich kierunku, należy to zrozumieć, ale to nie oznacza, że mamy milczeć.

WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI

Padły tu ogólne pytania, właściwie nie wiadomo do kogo, ponieważ była to ogólna dyskusja, a nie jeden referat. Na marginesie tych znaków zapytania - zgadzam się, że cechuje nas pewna nadwrażliwość, zbyt serio przyjmujemy pewne fakty, stwierdzenia czy wypowiedzi. Na pewno wiele rzeczy wyglądałoby u nas inaczej, gdybyśmy byli stabilni w rozwiązaniach wewnętrznych. Jeżeli chodzi o uregulowanie problemów własności, reprivatyzacji i odszkodowań, pozostajemy daleko w tyle za Węgrami, Czechami i Słowakami, i sami jesteśmy temu winni. My wszyscy - społeczeństwo, władza i rządy, nie ten obecny, bo jest zbyt krótko, ale wszystkie poprzednie, także te, w których ja uczestniczyłem. Patrzyłem jeszcze jako skromny ambasador w Wiedniu na początku lat 90. z zazdrością, jak Czesi, Węgrzy, Słowacy regulowali sprawy na własnych warunkach, bo wtedy oni proponowali rozwiązania. My teraz jesteśmy w innej sytuacji, i inna jest cena tego wszystkiego, niż była wtedy.

Uważam, że nie ma w Niemczech żadnego złego nastawienia do Polski, jest tylko obojętność i niewiedza. Zgadzam się również z tym, że w Polsce jest więcej zainteresowania niż w Niemczech, to u nas są liczne katedry germanistyki itd. Należy jednak spojrzeć także z innej strony - co o naszych sąsiadach myślą polscy chłopcy, robotnicy itd. Jest to kwestia stosunku do ludzi na drodze do Europy.

Zgadzam się całkowicie z wypowiedzią prof. Ziamera, rzeczywiście nikt nic nie wie. Kiedy zacząłem wykłady na Uniwersytecie w Monachium w 1983 r., studenci nauk politycznych na seminarium wybrali temat Europy Środkowo-wschodniej. Nie wiedzieli nic, bo się tym nie interesowali, to co tu mówić o niemieckim leśniku czy stomatologu. Kiedyś w Bawarii, gdy pracowałem na katolickim uniwersytecie w Eichstadt, na rynku, przy winie, mieszkańcy tego małego miasteczka zapytali mnie nieśmiało: „To pan jest tym polskim profesorem?” Odpowiadam, że tak. „A wierzy pan w Matkę Boską?” Mówię, że oczywiście, na co oni: „Zum Wohl!” Dla bawarskiego chłopca taki ze Wschodu to w Matkę Boską wierzy i tyle. Ale czy inaczej jest w naszym lubelskim, podlaskim itd.?

Ludzie niewiele wiedzą, bo ludzkość żyje w biegu. Kończąc, pozwolę sobie na jeszcze jedną uwagę pod adresem pani Steinbach. Powstało w Berlinie monumentalne Muzeum Holokaustu, i słusznie, teraz powstaje pomnik, nasza pani Steinbach chytrze to sobie wymyśliła, nie może być przecież tak, aby JEDYNYMI ofiarami wojny byli Żydzi, ofiarami byli przecież TAKŻE Niemcy. Jeżeli będą żyli, a w Niemczech w najbliższej przyszłości w układzie rządzącym będą się przejawiały jakieś tendencje do zinstrumentalizowania części spraw, na

zasadzie Żydzi - ofiary wojny, Niemcy - ofiary wojny, to ja w Polsce podniosę głos o budowę centrum i muzeum stosunków polsko-niemieckich od 1772 r., od pierwszego rozbioru Polski, do dziś.

ARTUR HAJNICZ

Uważam, że centrum wypędzonych jest tematem zastępczym i gdziekolwiek by ono było, zawsze będzie źle. To, co o tym powiedział Markus Meckel, było powiedziane w dobrej intencji. Odczuwam do niego wielką osobistą sympatię, i to nie zmienia faktu, że niekiedy się z nim nie zgadzam.

WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI

Czy mówiąc „zastępczy”, ma pan na myśli, że cierpieli Żydzi, cierpieli Niemcy?

ARTUR HAJNICZ

Absolutnie nie o to chodzi, chodzi o to, że gdziekolwiek to centrum będzie, będzie to źle przyjęte.

WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI

To może być mniej źle lub bardziej źle.

ARTUR HAJNICZ

Kolejna rzecz: kiedyś byłem pod wielkim wrażeniem tego wydarzenia, napisałem o tym w książce. To był rok 1990. Odwiedził nas w Senacie prezydent Richard von Weizsäcker, który uczestniczył w wojnie w mundurze oficera niemieckiego. Ja w polskim mundurze wkraczałem czołgami do Niemiec i brałem udział w zamknięciu okrążenia Berlina. Prezydent powiedział tak: nasze pokolenie nie ma moralnego prawa przetrzącać swoich garbów na pokolenie XXI wieku. Nie zapominajmy o skutkach pierwszej wojny. Wierzcie mi Państwo, że dla pokolenia wieku XXI to nie są ci sami Niemcy, tylko ci, z którymi mamy dziś do czynienia. Nie możemy wymagać, aby mieli oni poczucie winy, bo oni nie są już winni, co nie znaczy, że nie poczuwają się do moralnej odpowiedzialności za przeszłość.

(Wypowiedzi nieautoryzowane)